

Byłem w Polsce – 24

22 września 2018

Ale przepraszam, bo daleko odbiegłem od tematu! Jak zwykle gubię się w dygresjach, ale czasami nie mogę sobie odmówić trochę szerszego spojrzenia na fakty. A fakty były takie, że byliśmy zachwyceni Wybrzeżem!

Kiedyś sądziłem, że najlepiej podróżować późnym listopadem, albo na przełomie lutego i marca, ale wygląda na to, że wielu myśli podobnie i na przykład Trójmiasto o każdej porze roku jest pełne ludzi. Nie ma czasu na nudę.

Cóż z tego skoro znowu musieliśmy pędzić z powrotem do Warszawy, bo sprawy wołały.

A wołały dlatego, że z mamą nie tylko nie było lepiej, ale wręcz gorzej bo gips na ramieniu ciążył jej jak kajdany i pogłębiał depresję i tęsknotę do śmierci.

Co można zrobić? Znowu próbowałem rozmawiać z lekarzem, ale wynik był taki jak poprzednio.

– Czy ma pan postanowienie o ubezwłasnowolnieniu mamy?

– Nic podobnego.

– No widzi pan. Mama decyduje o sobie.

– Naturalnie, ale widzi pan, że nie może mówić, a gips jest dla niej niepotrzebną torturą. Czy nie można by założyć bardziej ludzkiego usztywnienia?

Coś mi się przypominało, że widziałem takie usztywniające rękawy w Kanadzie, ale nie byłem pewny. Chodziło nam głównie o ulżenie starej osobie.

Lekarz zareagował tak jak poprzednio.

– Z medycznego punktu widzenia gips jest niezbędny!

A mama cierpiała.

Przypomniała mi się w związku z tym pewna historia.

Miałem kiedyś kolegę, który był dobrym kardiologiem i miał ojca – nałogowego palacza. Ojciec miał już blisko dziewięćdziesiątki, ale palił jak smok – jeden od drugiego.

Jego domowy lekarz wywarł na niego presję, żeby rzucił palenie, ale ten, chociaż starał się iść za tym wskazaniem, męczył się przeokropnie. Syn -kardiolog przyjechał na święta, zbadał ojca, popatrzył na jego mękę, podał mu paczkę papierosów i powiedział:

– Niech sobie tatuś zapali!

– Synku, ale mój lekarz powiedział, że...

– Proszę o tym nie myśleć! Proszę sobie spokojnie zapalić!

Ojciec zapalił i był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie! Umarł w parę lat potem na uwiąd starczy. Umierając kazał sobie zapalić papierosa i syn-kardiolog zrobił to spokojnie i bez wahania.

– Dziękuję Bogu, że dał mi takiego synka!

To były jedne z ostatnich słów szczęśliwego staruszka.

Zakazy, nakazy, kilogramy wmuszanych lekarstw i całe to “pastwienie się” nad starymi ludźmi zawsze było dla mnie zagadką!

Piszę te moje polskie refleksje na bieżąco i często gęsto nie sprawdzam tego co napisałem parę dni wcześniej. Wiem, że czasami obiecuję “wrócić do tego później”. Dziś chcę nawiązać do jednej z tych obietnic.

Zanim to jednak zrobię jeszcze dwa słowa o gipsach, lekarstwach i lekarskim podejściu do starych ludzi. Niezależnie od moich opinii, trzeba przyznać, że w ogromnej

większości lekarze są wspaniałymi ludźmi. Zrozumiałe jest, że mają swoje przepisy i muszą się ich trzymać a moje opinie są w tej materii bardzo subiektywne. Ale taki już jestem.

Mnie się wydaje, że z mlekiem matki wyssałem pewną awersję wobec lekarzy. Moja mama nigdy nie chodziła do lekarza, troje dzieci urodziła w domu i nie pamiętam żeby się na coś skarżyła. Jasne, że zdarzało się jej chorować, ale jakoś sama dawała sobie z tym radę.

Chyba podobnie jest ze mną, jakkolwiek wiele razy spotkałem się z zarzutami, że "mówię jak ciemny chłop ze wsi", albo że jestem "hipokrytą", bo chodzę na przykład do dentysty itp.

Wszystko to prawda, niemniej moja niechęć do lekarzy pozostaje niezmienną. Co ja na to poradzę? Proszę mnie mieć za wytłumaczonego!

A teraz wracam do rzeczy.

Szczerze powiem, że prędzej bym się wywozu na Sybir spodziewał niż tego, że będę "zagranicznym" turystą we własnym kraju.

W gruncie rzeczy nie planowałem żadnej emigracji. Tak się po prostu ułożyło. Co prawda miałem kiedyś małe ciągotki wyjazdowe, ale jakoś minęły. To było w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych kiedy przy jakiejś okazji znalazłem się na Zachodzie i sprawy zaczęły zmierzać w kierunku pozostania tam na stałe. Coś tam zaczęło kiełkować. Szybko to jednak porzuciłem, wróciłem do domu i z przyjemnością zanurzyłem się w entuzjazm nowego. To nowe to był głęboki oddech po gomułkowskiej szarości.

Gierek przynosił świeżość spojrzenia. Tak to wtedy widziałem i czułem.

Przypominają mi się tutaj wspomnienia dość znanego, po wojnie, działacza gospodarczego Henryka Różańskiego, który w pierwszych powojennych latach był rewindkatorem polskiego

mienia zagrabionego przez Sowietów. A była tego nieprzeliczona ilość.

Całe fabryki, parki maszynowe, tabory kolejowe i wszystko co mogło mieć wartość było wywożone do Związku Sowieckiego.

Sowieci argumentowali, że biorą mienie polskie, które należy się im jak psu kość, ale w wielu przypadkach kradli nasze, polskie, bez oglądania się na racje. Różański walczył o to zębami i pazurami. Oczywiście na tyle na ile mu pozwolono.

W swoich wspomnieniach pisze tak: „Przedstawiam wydarzenia tak, jak je odbierałem, przeżyłem i zapamiętałem... Odzwierciedlają więc one mój punkt widzenia i to taki, jakim był wtedy gdy się rozgrywały. Nie poddaję ich żadnej korekcie z punktu mojego dzisiejszego widzenia pewnych spraw”.

I ja też – podobnie jak on – piszę o pierwszej połowie dekady lat siedemdziesiątych tak jak ją wtedy widziałem, a widziałem ją jako dobrą. Dobrą i obiecującą.

Tak dla Polski jak i dla mojego pokolenia.

Mało tego. Byłem dumny z tego, że buduje się Trasę Łazienkowską, Zamek Królewski, Hutę Katowice i tyle innych. Zresztą nie tylko to. W sumie wszyscy, którzy wchodziliśmy wtedy na rynek pracy byliśmy pełni energii i zapału. Chcieliśmy robić kariery, urządzać się i po prostu dobrze żyć. A czy mogło być inaczej?

Jednak w drugiej połowie dekady, a dokładniej po czerwcu 1976 zrozumiałem, że jestem jak biedny, otumaniony chomik, który w swoim obłąkańczym biegu w plastikowym kółku, nie dociera do żadnego celu.

Spotykałem się wtedy z moimi kolegami i rozmowom i dyskusjom nie było końca, ale czuło się, że wielu z nas opadły skrzydła i “świeżość poranka” należy do przeszłości. Wtedy też zaczęło się mówić “ten kraj”.

„Ja w tym kraju na pewno nie będę sobie życia marnował!” –

słyszało się tu i tam.

Inna rzecz, że to już było parę lat po skończeniu studiów i ten i ów zdążył się jakoś urządzić, mieszkancko umeblować, fiacika kupić, a co najważniejsze miał żonkę jeśli nie w pierwszej, to w drugiej ciąży.

Niektórzy złapali wiatr kariery w żagle i parli do przodu.

I to był czas życiowych decyzji. Jechać, nie jechać.

No więc wyjechaliśmy. Chcieliśmy zacząć inny etap. W nowym środowisku, nowym kraju i nowym systemie.

Pierwszy raz przyjechałem na małą wizytkę do Polski po długim, prawie dwudziestoletnim okresie, ale ten czas był dla mnie bez porównania dłuższy niż ilość lat! To było tak jakbym przekroczył całą epokę! Ostatecznie wracałem do kompletnie innego kraju, który teraz należał do NATO a nie Paktu Warszawskiego, do Unii Europejskiej, a nie RWPG, gdzie obowiązującym systemem była gospodarka wolnorynkowa, a nie scentralizowana planowa i tak dalej!

To był przeskok, który zatykał dech w piersiach!

Moje ostatnie przyjazdy były już łagodniejsze, bo wiedziałem czego się trzymać i oczekiwać, ale ten pierwszy był prawdziwym wstrząsem.

Dlatego moje polskie wspomnienia muszą objąć także i tę pierwszą wizytę, która trwała zaledwie pięć dni, ale chyba najbardziej utkwiała mi w pamięci.

Chodziłem wtedy warszawskimi ulicami jak szalony, bo w ciągu tych krótkich dni chciałem zobaczyć jak najwięcej. I właśnie wtedy – najzupełniej przypadkowo – natknąłem się na Stanisława Manturzewskiego, którego poznałem wiele lat wcześniej, prowadziłem z nim podówczas ożywione rozmowy i dyskusje.

Ten Manturzewski był interesującym człowiekiem, dużo starszym

ode mnie. Wspominałem go trochę wcześniej przy okazji opisywania mojej wędrówki po Starówce. Obiecałem, że napiszę jeszcze o nim. No więc mimo różnicy wieku byliśmy na ty. Trochę socjolog, trochę reżyser, scenarzysta, pisarz. Nakręcił parę filmów.

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Źródło: Goniec.net